

MOJA

BOLIWIA



Pierwsza Wielkanoc w Boliwii

Przygotowania do świąt zacząłem przed Niedzielą Palmową przygotowując wszystkie teksty i młodzież (podzieliłem ich na grupy i poprosiłem o pomoc). Przygotować całą oprawę Triduum i Wielkanoc po hiszpańsku to dopiero był wyczyn! Siedziałem nad tym dosłownie cały tydzień!

Oczywiście do tego inne obowiązki więc momentami było gorąco ;p Pierwsza sprawa, która mnie mocno zaskoczyła, to brak spowiedzi. Sytuacja trochę jak z parafii św. Jana Marii Vianney'a. Raptem tylko raz udzieliłem tutaj rozgrzeszenia. Oni w ogóle nie czują czym jest grzech, a granica między dobrem i złem jest iście relatywna. Ale do Komunii przystępuje dużo ludzi, niektórzy od dzieciństwa w ogóle się nie spowiadają! Każda próba wytłumaczenia im tego kończy się "*Si, Padre*"... Przed Wielkanocą nikt się nie wyspowiadał...

Zaczęliśmy w Niedzielę Palmową z poświęceniem palm. Tutaj ich nie brakuje, ale ludzie jakoś nie mogą sobie zakodować, że w tę niedzielę przychodzi się do kościoła z palmami, więc miejscowe "bizneswoman" sprzedawały poplecione niby palemki i wyglądało to dość zabawnie :)

Następnie w tygodniu próby. To była dla mnie jedna wielka próba cierpliwości, bo punktualność tutaj nie egzystuje. Próba o 17:00, więc zaczęli się schodzić przed 18:00, albo i 19:00...

To całkowicie rozbijało mój harmonogram przegotować, ale próbowałem się powstrzymać aby ich nie pozabijać ;) Od razu przypominały mi się próby ministrantów i w Seminarium, gdzie 5 min spóźnienia można było przepłacić szubienicą ;)

Nie mając doświadczenia i wolną rękę (proboszcz jeździł po wspólnotach), chciałem

przygotować to jak najpiękniej, trochę na styl wyniesiony z Polski, ale tutejsze warunki często mnie hamowały z moich zapędów. W końcu nie było nawet kadzidła.

Przygotowałem ciemnicę z o. Venancio, który przyjechał nam tu pomagać na ten czas. Ile się na prosiłem, żeby młodzież przyszła mi pomóc... "Si, Padre" i na tym się skończyło. Tutaj "tak" nie koniecznie oznacza "tak" - ciągle o tym zapominam, a może ślepo wierzę, że może kiedyś się to zmieni...

Na Liturgię Wielkiego Czwartku przyszła "stała gwardia", czyli ludzie, którzy słysząc dzwony, przychodzą na Msze. Miała to być Msza Święta Wieczery Pańskiej, ale dla większości nie stanowi to żadnej różnicy. Pomimo pisemnych instrukcji, muzycy zdecydowali się na śpiew Alleluja i używanie instrumentów - bez tego dla nich to jakoś nie tak. Po Mszy św. przenieśliśmy Najświętszy Sakrament do ciemnicy, gdzie chwilę pomodliliśmy się wspólnie. Pomimo zachęty, nikt nie został na dłużej...

To także "dzień księdza". Pamiętam wierszyki i kwiatki od dzieci i grup parafialnych w Warszawie, podczas mojej praktyki diakońskiej. To taki moment, kiedy wiara w to, że ten cały trud bycia księdzem przekłada się na "dziękuję" i na słowa, które dodają otuchy.

Tutaj jedynie po Mszy podchodzą ludzie, którzy chcą dać na Mszę albo odebrać certyfikat chrzcielny - wydajemy ich mnóstwo! Tutaj jest on respektowany jako dokument urzędowy, bo lokalne urzędy państwowe mają taki bałagan w dokumentach, że niekiedy tylko metryki kościelne zaświadcniają, że ktoś żyje i kim jest.

Ja ten czas wykorzystałem na wspomnienia o moim wyborze tej drogi, wszelkie trudności, wątpliwości, i pomimo podpowiedzi rozsądku, aby pomyśleć, czy to ma sens, prosiłem o wiarę, aby ona dodawała sił.

Wielki Piątek zgromadził sporo ludzi. A to za sprawą Drogi Krzyżowej, która się odbywa po Liturgii. Zaczęliśmy ze sporym opóźnieniem, bo czekaliśmy na muzyków i młodzież.

Z prawie pełnym kościołem, który ciągle się zapełniał, zaczęliśmy celebrację. Widząc wielkie zdziwienie na twarzach wiernych i ich całkowity brak orientacji pomimo trzymany w rękach kartek z tekstami, krok po kroku tłumaczyłem o co w tym chodzi. Do braku odpowiedzi i jakiegokolwiek reakcji powoli już się przyzwyczajam, ale na milczenie po ukazaniu krzyża i odśpiewaniu "Oto drzewo Krzyża, na którym zawisło Zbawienie świata" ciężko mi było nie zareagować. To taki moment, kiedy znowu pojawia się pytanie kim dla nich jest Bóg. Do ucałowania podeszła raptem połowa wiernych. Do Komunii św. już zdecydowanie więcej.

Po Mszy św. Przeniosłem Monstrancję do grobu. Tam chwilę pomodliliśmy się za nasze

grzechy. Usłyszawszy wcześniej o jednej parafiance, która popełniła aborcję, naszło mnie, aby też za to przeprosić Boga. Tutaj aborcja jest powszechna, tak samo jak nastoletnie matki. Niestety mówienie o tym, że to zabójstwo, na nikim nie robi wrażenia... Dla nich jest to sposób na pozbycie się problemu. Po modlitwie przypominałem o Drodze Krzyżowej, na którą w miejscowym zwyczaju zabiera się przeszkloną trumnę z figurą Jezusa w środku. Jest dość ciężka i 4 mężczyzn ma co nieść. Pomimo zachęty nie znaleźli się chętni, aby ją nieść, więc wziąłem krzyż z adoracji, który ucałowali i powiedziałem, że ja nie wstydzę się krzyża i będę go nieść zamiast trumny i zapoczątkowałem procesję. Na pierwszej stacji zauważyłem, że te słowa ich ruszyły i kilku mężczyzn się zmobilizowało i wzięli trumnę. Ucieszyłem się - jest to kropla nadziei w oceanie pracy duszpasterskiej z nimi :) Po drodze mijaliśmy ludzi, którzy wracali z pola, jedzących na ulicach i raczących się piwem, przy oknach domów pełnych gapiów. Nikogo tutaj to nie rusza... Większość z nich się nazywa katolikami, bo jako dzieci byli ochrzczeni, ale poza tym nic więcej. "*Padre, tenemos que trabajar...*" (Ojcze, musimy pracować...).

Oczywiście na Adorację nikt nie wrócił, ani nie znalazł ani chwili w sobotę, by odwiedzić Grób z wystawionym Najświętszym Sakramentem. Tutaj pokarmów się nie święci, to i nie było okazji. A specjalnie iść do kościoła jak nie ma Mszy to raczej niemożliwe, bo i po co.

W Wielką Sobotę od rana zacząłem przygotowania :) Paschał, naczynie na wodę święconą, napis nad ołtarzem no i teksty Liturgii, które dla mnie były nowością. Próba z młodzieżą i przygotowanie ogniska miała być o 17:00, jednak nikt nie przyszedł. Na szczęście pomogły mi dwie znajome, które przyjechały z El Alto aby spędzić tu Wielkanoc. Pierwsza osoba na próbę przyszła przed 18:00 i była jedyną. Reszta zapomniała i przyszła tak jak normalnie, czyli około 20:00 (mieliśmy zacząć o 19:30). Muzyk, który miał śpiewać Orędzie Wielkanocne przyszedł o 20:10 i to bez tekstu, więc szybko jeszcze go drukowałem. Ognisko było dużą atrakcją, zwłaszcza wśród młodzieży, bo mogli mieć zapalone świece. Przemarsz w ciemności i cała ta oprawa świetlna nadała smaku tym naszym obrzędom. Szukanie na szybko zastępstwa za tych, którzy mieli jakąś funkcję i nie dotarli, i małe zamieszanie z tego powodu, udało mi się jakoś opanować. Za to najważniejsza jest... woda święcona! Skoro tak, to przygotowałem "gruby kaliber". No pokropienie zazwyczaj używamy małego kwiatka, ale tym razem użyłem kropielnicę przywiezioną z Polski :) Wody święconej nie szczędziłem, więc wszystkim się podobało, choć nie byli gotowi na taką dawkę. Tak przy okazji śmigusa-dyngusa (tutaj wodą leją się w karnawale).

W Niedzielę Wielkanocną odprawiliśmy Mszę św. o 8:00, tzn. o 9:00. Nawet uzbierał się

pełny kościół! Tutaj nie ma tradycji procesji rezurekcyjnej. Po Mszy św. kurs dla dzieci przygotowujących się do Pierwszej Komunii i Bierzmowania, przyjmowanie ludzi w biurze parafialnym i ciągłe reagowanie na dzwonek, bo wszyscy właśnie w Wielkanoc potrzebują odebrać zaświadczenie o chrzcie, zamówić Mszę św. itp., czyli jak co dzień. Te święta były dla mnie bardzo mocnym doświadczeniem. Pomimo wszelkich inności, trudno mi zrozumieć, że ten czas nie jest niczym nadzwyczajnym... życie toczy się tak jak zwykle! Codziennie chodzi się na pole zbierać kokę, sklepy otwarte jak na co dzień, ludzie zbierają się na ławce przed kościołem, aby napić się piwa i później śpią pod bramą... A gdzieś w tym wszystkim, czego oni nie potrafią dostrzec, dzieją się ogromne tajemnice naszego zbawienia. Tutaj nawet nie ma jednego dnia wolnego! Tzn. nikt tu nie jest nauczony do niedzielnego odpoczynku i świętowania. Dlatego też relacje między nimi są bardzo chłodne, szczególnie między rodzicami i dziećmi, którymi raczej nikt się za bardzo nie interesuje.